



## Wojciech Mierzwa

## część I z II

Sygnatura notacji: **N0734**

Data urodzenia: **29.01.1947 r.**

Data nagrania: **29.04.2025 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka Kraków Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Grzegorz Łuszczynski**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 25 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Wojciech Mierzwa:** Witam serdecznie. Wojciech Mierzwa. Urodziłem się 29 stycznia 1947 roku w Krakowie. Jestem najmłodszym i jedynym jeszcze żyjącym potomkiem Heleny z domu Ściborowska i Stanisława Mierzwy. To moi rodzice. Rodzeństwo – najstarszy to był brat Jacek, później Wincenty, później siostra Jadwiga i ja najmłodszy. To tak bardzo, bardzo skrótowo o sobie. Co jeszcze mógłbym powiedzieć? Jestem żonaty, mam dwóch dorosłych synów, doczekaliśmy się czworga wnucząt. Mieszkamy w Krakowie przy ul. Białoruskiej na osiedlu Wola Duchacka Wschód. Urodziłem się w mieszkaniu przy ul. Zaleskiego. Tam rodzice wynajmowali mieszkanie. To było mieszkanie kwaterunkowe. O tyle to może być interesujące, że właśnie z kamienicy, gdzie mieszkaliśmy, spod kamienicy porwano ojca w 1946 roku i później ten słynny proces krakowski. Matka wychowywała nas – czworo dzieci samotnie. Ojciec był w więzieniu. Ja urodziłem się, jak ojciec już był w więzieniu. Tak że ojca poznałem dwa razy, o czym opowiadałem już wcześniej. Mianowicie matka po urodzeniu mnie, a w ogóle to była sprawa dość taka trudna, ponieważ matka miała bardzo ciężki poród, bardzo ciężki połóg. Ze mną było bardzo krucho. Ojciec nawet pisał w liście z więzienia, że jeśli moje życie jest zagrożone, to żeby nie czekać z pokropieniem, czyli z chrztem. Ale jakoś to się szczęśliwie wszystko ułożyło i po pewnym czasie matka zabrała mnie do więzienia do Wronek, żeby pokazać ojcu, że urodziła mu syna. I to była scena dość zabawna, oczywiście ja jej nie pamiętam. Znam ją tylko z opowiadań ojca, matki. A mianowicie w pokoju widzeń matka odwinęła mnie z pieluch i podobno zachowałem się bardzo niestosownie do tego miejsca takiego bardzo poważnego w obecności strażnika więziennego. To było moje pierwsze spotkanie z ojcem. Tak jak wspominałem, oczywiście nie pamiętam tego. A tak rzeczywiście już, jak go zapamiętałem, to kiedy wyszedł z więzienia, to był 1953 rok, razem z siostrą Jadwigą byliśmy w Kościelnikach, to kiedyś była podkrakowska wieś, obecnie to jest osiedle w Nowej Hucie. I przyjechała matka ze starym siwym panem. I powiedziała: „To jest

wasz ojciec". Ojciec wyszedł z więzienia, przyjechał z matką zobaczyć swoje dzieci, a my swojego ojca. I tę scenę już zapamiętałem dobrze. Mówię: stary, siwy pan, zgarbiony, bezzębny. To był, jak powiadam, 1953 rok, czyli ojciec ile miał? 1905... – 48 lat. – 47–48 lat. Tak wyglądał po wyjściu z więzienia. I później zaczęło się już normalne życie. Mieszkaliśmy przy ul. Zaleskiego 6 w kamienicy. Niewiele pamiętam z tego dzieciństwa, ze spotkania z ojcem, poza tym tylko, że gnębił nas nauką. Dzięki temu, nie wiem, czy to było dobre, czy to było złe, ale ja wystartowałem w szkole podstawowej od razu do drugiej klasy, bo przez te nauki ojcowe, to znaczy: „Pisz, poprawiaj błędy, te kulfony, litery”, jakoś pomogło mi to, że dyrektor szkoły stwierdził, że nie muszę chodzić do pierwszej klasy, tylko od razu praktycznie do drugiej klasy. Tak że zarobiłem rok nauki, co skutkowało tym, że i w średniej szkole byłem najmłodszym w klasie, na studiach byłem najmłodszym na roku. I tak się to potoczyło moje dzieciństwo.

**Grzegorz Łeszczyński: A proszę powiedzieć jeszcze, bo na pewno Pan pytał o ojca, prawda? Kiedy go nie było w domu, był w więzieniu. Czy zastanawiał się Pan jako dziecko, gdzie on jest. Czy mama coś mówiła na temat tego, co się dzieje z ojcem?**

**Wojciech Mierzwa:** Nie, nie, w tamtym okresie nie. O ile pamięć mnie nie zawiodła, to nie zadawałem takich pytań. No byłem małym dzieckiem i nie rozumiałem tej sytuacji, że ojca nie ma. Było rodzeństwo, byli bracia starsi, była starsza siostra o też takiej trudnej przeszłości, bo kiedy ja się urodziłem, dla niej zabrakło miejsca w domu. W sensie nie tyle miejsca fizycznie, żeby łóżka brakowało, tylko był kłopot z wykarmieniem. I siostrą zaopiekowali się przyjaciele rodziny. Kilka lat była daleko poza domem, na wychowaniu, na utrzymaniu.

**Grzegorz Łeszczyński: Dużo starsza od Pana była?**

**Wojciech Mierzwa:** Tak, tak. Rocznik 43. Najstarszy brat to rocznik 1937, drugi brat Wincenty rocznik 1939. I siostra Jadwiga '43 rocznik. No było to smutne, ale no tak to było. Takie to były czasy. Pytano mnie niejedną raz, niezbyt chętnie o tym opowiadam, bo były to naprawdę trudne czasy. Matce nie pozwolono pracować. Dobrze, że rodzina ze wsi podsyłała to mleko, to jajka, to ser. To matka nas wysyłała na wieś do dziadków, żeby po prostu nas jakoś podkarmili, odkarmili. I takie to były czasy, tak że... Wspominam je raczej niechętnie, tak bym to powiedział. Bo lepiej chyba wracać do przyjemniejszych chwil niż do takich smutnych czy wręcz tragicznych. A spotkania z ojcem – też już komuś o tym opowiadałem. Czasy były chude, biedne. Bo do wykarmienia było nie tylko 5 osób – matka i 4 dzieci, ale przybyła szósta osoba – ojciec z więzienia. Był pozbawiony praw wykonywania zawodu i zanim znalazł jakąś pracę, zanim zaczął zarabiać pierwsze pieniążki, to było może jeszcze nawet trudniej. Ale ojciec mnie i siostrę zabierał na spacer po Krakowie i to pamiętam. Zwiedzaliśmy kościoły, zwiedzaliśmy muzea. Wstęp do muzeów był prawie że za darmo. To były grosze. I na tamte czasy chyba wszystkie muzea zwiedziliśmy. Nie bardzo pamiętam, niewiele pamiętam, bo przecież to poważne rzeczy pokazują w muzeach, ale to było bardzo interesujące. Podobnie z kościołami – co niedzielę zwiedzaliśmy inny kościół, najpierw msza, a później zwiedzanie. Ojciec, ponieważ doskonale znał łacinę, tłumaczył napisy łacińskie, podpisy pod obrazami, przy ołtarzach. I tak schodziło nam to spędzanie wspólnego czasu, bo w tygodniu szkoła, ojciec – polityka od samego powrotu z więzienia, spotkania poza domem, bo w domu nie było na to miejsca. Było nas sześcioro w dwupokojowym mieszkaniu, a jeszcze do tego zawsze ktoś mieszkał dodatkowo. Bo ktoś studiował z rodziny, przyjeżdżał na soboty, na niedziele, no to u wujka przenocować się. Bo ktoś

jechał do Warszawy coś załatwić, pociągi wiadomo, jak jeździły, to u wujka i u ciotki jedną noc się przespał. Tak że dom był otwarty. W tym sensie było nas sporo. I ojciec tę politykę, te spotkania z przyjaciółmi, znajomymi, to to odbywał na mieście, to tak bardzo, bardzo skrótowo. – Kiedy Pan się jakby zaangażował może też w tę działalność, którą ojciec prowadził? Kiedy się Pan zaczął tym interesować i jakoś też włączać może też w te działania, mniej lub bardziej czynnie? Jak to wyglądało w Pana przypadku? – Szkoła podstawowa, czyli do roku 1960 byłem dzieckiem. Trudno sobie wyobrazić, żeby tam 10- czy 11-letni chłopak zajmował się sprawami takimi ważnymi. To były łyżwy, to były sanki, to była zośka, to była piłka itd., itd. Po szkole mówię. Później liceum ogólnokształcące, wymagający profesorowie, nauka w liceum plus harcerstwo. Później studia. Tu już zacząłem się troszkę interesować, ale musi Pan wiedzieć, że ojciec w domu z dziećmi polityki nie uprawiał. To znaczy nie opowiadał, nie żądał od nas, nie wymagał, żebyśmy zajęli się tym czy innym. Jeżeli się pytałyśmy, to owszem, udzielał odpowiedzi, ale sam z siebie nie narzucał jakiegoś działania z naszej strony. A później po studiach, no cóż, małżeństwo, rodzina, staranie się o mieszkanie, o jakąś pracę itd., itd. Tymi sprawami, o które Pan pyta, praktycznie tak naprawdę mocno zaangażowałem się dopiero po śmierci ojca. Chociaż wcześniej też, ale to było sporadyczne. Na przykład zawoziłem ojca do Wierchosławic na uroczystości różne, chociaż częściej robili to starsi bracia, Jacek i Wincenty, ale czasami wypadło na mnie. Od ojca... Ojciec miał taki sposób, że zostawiał niby książki – jakbyś tam chciał przeglądnąć, to masz tutaj taką książkę. Nie mówił, żeby przeczytać, nie opowiadał, co w niej jest, nie komentował, ale były to książki wyraźnie polityczne, o sprawach, o których oficjalnie nie mówiło się. Mało tego, nawet niektórzy za to cierpieli, że mówili o takich sprawach. A po śmierci ojca zaczęło się dużo dziać. Dlaczego? Ojciec zmarł w 1985 roku. W 1993 była pierwsza wielka uroczystość nadania imienia ojca szkole w rodzinnych Biskupicach Radłowskich. Tam, gdzie się urodził, gdzie chodził do pierwszej szkoły. Wielka, ogromna uroczystość z udziałem wielu wspaniałych ludzi. I niedługo później po tej uroczystości wystąpił problem ze spuścizną po ojcu. Z jaką spuścizną? Fotografie, dokumenty, gazety. Trzeba było opróżnić mieszkanie. Mieszkanie już przy ul. Brodowicza 3, dokąd przenieśliśmy się z Zaleskiego – to sąsiednia ulica, powiedzmy 100 metrów odległa – na nieco większe trzypokojowe mieszkanie. Przeprowadziliśmy się chyba w 1959 albo na początku 1960 roku. Trzeba było opróżnić. I tu się zaczęły schody, bo wcześniej już, zaraz po śmierci ojca, kilkoro ludzi obiecywało najstarszemu bratu pomóc uporządkować, w cudzysłowie, archiwum ojca. To był mały pokój zawalony od sufitu po podłogę różnymi, my to nazywaliśmy, papierami. Tam były listy, fotografie, dokumenty, stosy gazet. Ojciec zbierał gazety, w których coś było interesującego na temat ruchu ludowego, o Witosie, o takich bieżących sprawach, odkładał te gazety. Ci, którzy chcieli pomóc bratu w segregowaniu, po jednym, dwóch dniach rezygnowali i mówili, że to jest robota na lata. Nie na dzień, dwa, trzy, jak sobie wyobrażali, tylko na dłużej. I to wszystko, ta cała spuścizna trafiła z mieszkania, gdzie ojciec mieszkał do końca, do śmierci, trafiły w różne miejsca, m.in. na działkę, do piwnic, do komórek. I tam sobie leżały właśnie do roku, jak wspominałem wcześniej, 1993, kiedy mnie i żonę nieco tąp[ne]to, że trzeba by coś z tą spuścizną w końcu zrobić. Mało co, a część tych dokumentów byłaby w ognisku. Na pierwszy rzut poszły na działkę u brata gazety. Doszliśmy do przekonania, że gazety są dostępne w bibliotekach, w Jagiellonce są wszystkie. I brat zaczął robić porządki od spalenia gazet. Następnie były przygotowane kolejne rzeczy, a tam były na przykład, jak się później okazało – to z żoną żeśmy segregowali i doszli, na przykład oryginał testamentu Wincentego Witosa. Na przykład. Na przykład oryginały pamiętników Wincentego Witosa. Nie całe, ale fragmenty, kilka, kilkanaście kart. I tak dalej, i tak dalej. Zaczęliśmy z żoną ściągać z tych piwnic, z tych domków na działkach te dokumenty do siebie. To wszystko było śmierdzące, zawilgocone, zatęchłe, część nawet już pleśń, no bo przechowywane w takich warunkach, w altanie na przykład na działce. A więc suszyliśmy to tu, w tym mieszkaniu,

przekładaliśmy i zaczęliśmy to segregować. 1993 rok – zrobiłem takie symboliczne miejsce w tym pokoju, porożkładane papiery kupkami, zaczęliśmy to segregować. I w tym 1993 roku zacząłem wydawać to, co tutaj leży przed Panem – pisemko „Rodzinnik”. To była ciekawostka na skalę przynajmniej Małopolski, bo nawet o tym „Rodzinniku” napisano w gazecie. Tu w mieszkaniu, na domowej drukarce, w 150, w 200 egzemplarzach...

### **Grzegorz Łeszczyński: Pan pokaże do kamery okładkę.**

**Wojciech Mierzwa:** Drukowałem takie oto pisemko rodzinne, do którego każdy mógł napisać coś o rodzinie, w którym podawałem najświeższe informacje, kto się urodził, kto zmarł. I rozsyłałem to wśród członków rodziny. Nakład dochodził do 200 egzemplarzy. Niektóre wydania były, powiedzmy, kilkukartkowe, niektóre były obszerniejsze. Wysyłałem pocztą, część rozdawałem osobiście tym, którzy byli tutaj bliżej nas. I to trwało kilka lat, do 2011 roku. Wydałem chyba, jeśli pamiętam, 8 numerów takich. Bardzo się to ludziom podobało. Do tej pory niektórzy przetrzymują i pytają się: „Dlaczego nie wydajesz tego dalej?” Ale to było po prostu kłopotliwe. Pomagał mi początkowo taki członek naszej rodziny, wnuk siostry mojego ojca, Rysio Warecki. Przychodził tutaj i drukowaliśmy na tej drukarce: 200 razy pierwsza kartka, pierwsza strona – 200. No kilka tonerów trzeba było zużyć, żeby wydrukować taki jeden numer. Później rozsyłanie, poczta, znaczki, to też był w sumie koszt. Koszt i czas i dlatego zarzuciliśmy wydawanie w tej formie papierowej, analogowej. W 2011 syn najstarszy Tomasz mówi: „Tata, zrobimy to przez stronę internetową”. I od 2011 roku „Rodzinnik”, tak nazwaliśmy to pisemko, wydawany jest w formie elektronicznej. Każdy może wejść, przeczytać, każdy, kto ma ochotę, może coś zgłosić jako artykuł. Nie płacimy honorariów, bo nas na to nie stać, ale chętnie publikujemy, jeżeli cokolwiek ktoś napisze związanego z naszą szeroko rozumianą rodziną. To nie o mnie, nie o ojcu, ale o szeroko rozumianej rodzinie. I dzięki temu wydawnictwu sporo też informacji zaczęło się ukazywać o ojcu. Równoległe z „Rodzinnikiem” zbieramy informacje o członkach rodziny. I tu znowu historia jest dość długa. Ojciec przed śmiercią, było to może 2, może 3 lata, już nie pamiętam dokładnie, wspominał przy jakimś spotkaniu rodzinnym: „Słuchaj Wojtek, jak mnie braknie, ty będziesz ogarniał rodzinę”. Ogarniał to znaczy miałem wiedzieć jak najwięcej o rodzinie. Sam wiedział prawie wszystko. Kilka razy powtarzał, że będąc w więzieniu, powtarzał sobie: „Franek ożenił się z Zosią, mieli trójkę dzieci. Najstarszy to miał tak na imię, drugi to tak. A ciotka, a wujek...” Potrafił wymienić do góry, w dół ileś pokoleń. A mówił, że powtarzał, żeby nie zwariować, zwłaszcza jak siedział sam w celi, a siedział kilka lat samotnie w pojedynkę. Ćwiczył w ten sposób pamięć i wiedział o rodzinie wszystko. Ojciec zmarł, byłem zajęty innymi sprawami, ale równoległe z wydawaniem tego „Rodzinnika” wróciłem do tego „ogarniania” rodziny. Pogrzeby, śluby. Przy okazji stanąłem gdzieś z boku, „Słuchaj, jak twoje dzieci mają na imię, kiedy kto się urodził?”. Zacząłem zbierać informacje. Tak na papierze pisać było trudno, ale już techniki komputerowe pozwoliły na to, że można było w jakichś arkuszach kalkulacyjnych, w bazach danych gromadzić te informacje i w tej chwili jestem w rodzinie takim, u którego można uzyskać sporo informacji. Żona zachęcona przeze mnie zaczęła zbierać dane o swojej rodzinie. I to nasze archiwum jest już dość spore. Oczywiście nie upubliczniamy, bo są to dane takie może i niektóre wrażliwe, kto się z kim kiedy ożenił, kiedy rozwiódł, kiedy umarł, ot takie rzeczy, ale tych danych jest już naprawdę sporo. W rodzinie mianowano mnie takim trochę... Nie wiem, jak by to powiedzieć, żeby nie przesadzić, ale organizowałem zjazdy rodzinne co 5 lat. W tych zjazdach uczestniczyło 150–200 osób z całej Polski. Ostatni był w 2015 roku. Już mi po prostu brakuje sił, żeby organizować kolejny. Ale dowiedziałem się niedawno, że moi krewniacy w Biskupicach Radłowskich chcą kontynuować i w tym roku we wrześniu też ma być zjazd rodzinny. Obie-

całem im pomóc w sensie udostępnienia adresów kontaktowych, takich rzeczy. I tak to pokrótce wygląda. Ktoś ładnie powiedział, że gdyby nie ojciec, to o Witosie by zapomniano. I myślę, że jest w tym dużo prawdy. Był cykl takich artykułów, wywiadów z ojcem w „Dzienniku Polskim”. I jeden z tytułów był taki: „Zawsze o Witosie”. Rzeczywiście prędzej czy później każda rozmowa schodziła na temat Witosy, pamiątek po Witosie, upamiętnienia Witosy w taki czy inny sposób. Muzeum Witosy, Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosy w Wierzchosławicach. To było dziecko Muzeum Witosy. i Towarzystwo Przyjaciół Muzeum to były dzieci mojego ojca. Czy mówił o tym? Nie, nie mówił nic. Nie rozmawialiśmy o tym. To może się wydawać dziwne, ale tak było po prostu. Ojciec nie opowiadał nam, dzieciom, co robi, jak robi. O tym wszystkim dowiadywaliśmy się sami od innych, a po jego śmierci najwięcej to z literatury i to proszę sobie wyobrazić, że to może akurat nie odpowiedź na Pańskie pytanie, ale przyczynek do takiej odpowiedzi – kiedy wznowiono śledztwo, kiedy IPN wznowił śledztwo w sprawie procesu moskiewskiego, to było kilkanaście lat temu, wezwano mnie do prokuratora, IPN-u. Prokurator, jak zameldowałem się: „Melduję się na wezwanie”. „Ale proszę Pana, my Pana nie wzywaliśmy, tylko zaprosiliśmy, bardzo miło. Co ojciec Panu opowiadał o porwaniu do Moskwy? Co Pan wie?” Odpowiedziałem: „Panie prokuratorze, nie wiem od ojca nic, wiem z literatury. Mam tę literaturę w domu, mogę przynieść i pożyczyć”. „Nie, nie, my mamy, to znamy, ale co?” No tak to było. Ojciec nawet o takich wydarzeniach nigdy nam nie opowiadał. Czy to dobrze, czy to źle, trudno mi powiedzieć. Tak po prostu było. O tym, że zajmuje się, wiedzieliśmy, bo wizyty w domu, przez nasze mieszkanie jedno, drugie, kwaterek przewinęły się no jeśli nie tysiące, to przynajmniej setki ludzi. O sprawach zawodowych czy adwokackich ojciec w domu nie rozmawiał. Umawiał się z klientami w zespole adwokackim. Natomiast przyjeżdżali ludzie po porady typu: jak się dostać na studia, bo dziecko się stara, ktoś tam z rodziny, czy jechać do Ameryki, czy nie jechać do Ameryki. Jeżeli miał jakieś kłopoty z sąsiadem, mówię o rodzinie, najpierw do ojca, czy warto iść z tym do jakiegoś adwokata, czy nie. I tych ludzi przewijało się sporo, nie mówiąc o tym, że odwiedzali go starzy znajomi, przedwojenni ludowcy, którzy chcieli się z nim spotkać, porozmawiać, dowiedzieć się, jak w tej rzeczywistości się znaleźć. I każda rozmowa zaczynała się od spowiedzi. Ja to nazywam spowiedzią. Ojciec przepytывał po kolei od ojca, matki, dziadka, pradziadka, dzieci, co robią, co w gospodarstwie, jak się krowy chowają, ile pola, co urosło. I stąd my niejako pośrednio wiedzieliśmy, czym ojciec się zajmuje. Bo każda rozmowa ojca z tymi gośćmi, jeżeli to był ktoś nie z rodziny bliskiej, to kończyła się takim apelem: „Słuchajcie kolego, koleżanko, jakbyście coś mieli związanego z Witosą, to możecie przywozić tu do mnie, bo będziemy tworzyć muzeum. Jakbyście coś słyszeli o sztandarach przedwojennych ludowych, napiszcie, a najlepiej jeszcze jakbyście przyjechali z tym sztandarem”. No a my posługiwaliśmy w tych rozmowach, bo podawaliśmy herbatki. Każdy taki gość wypijał dwie, trzy szklanki herbaty, bo siedział często kilka godzin. I stąd była ta nasza znajomość, co ojciec robi. I jak wspominałem, od czasu do czasu, ja przynajmniej, woziłem ojca na takie spotkania do Wierzchosławic, do innych miejsc. Bo ojciec uprawiał tę politykę w terenie, na cmentarzach. Rocznice pogrzebów, pogrzeby, rocznice śmierci. Wybudowanie nowego nagrobka i z tej okazji spotkania na cmentarzu. „Wojtku, jak byś mógł, to byś mnie zawiózł”. No jak mogłem, to jechałem ja. Chociaż, jak mówię, częściej jeździli bracia, ja rzadziej. Mieli lepsze samochody. Stąd... Ale i moja konstrukcja o nazwie handlowej Syrena, też parę kilometrów z ojcem zrobiła. Niektórzy to nazywali szybki, sportowy wóz Syrena. Takie to były nasze informacje o działalności ojca i rzeczywiście ojciec stworzył to muzeum. Przez wiele lat mówiło się, że był współzałożycielem. No oczywiście nie robił tego sam, ale to była jego inicjatywa i głównie jego głową, jego myślą to szło. A pomagało wielu jego kolegów, przyjaciół, znajomych. Podobnie zresztą, jak z powstaniem Towarzystwa. Nie mógł tego firmować, bo pewnie by muzeum nie powstało, bo jeszcze to był taki czas, że ta działalność polityczna ojca,

choć trudno... Dzisiaj z tego się możemy śmiać, ale przecież do końca życia ojciec był inwigilowany, podsłuchy, nie podsłuchy, to wszystko funkcjonowało. A więc władza przeczuwała, że ojciec zrobi coś dla władzy niedobrego. Także niewiele tu mogę opowiedzieć o tych doświadczeniach.

**Grzegorz Łeszczyński: Ale czy może Pan już z własnego, z autopsji pamięta, czy władze czyniły jakieś przeszkody przy powstawaniu tego muzeum? No bo to jednak jest początek lat 70. Witos, powiedzmy sobie, nie był wtedy jakąś postacią hołubioną przez ówczesną władzę, nawet przez ZSL ówczesny, prawda?**

**Wojciech Mierzwa:** No oczywiście, to nie było na rękę nikomu powstanie muzeum. Nie, szczegółów nie znam o jakichś takich przeszkodach. To, jeżeli były, to odbywały się na pewno poza mną. Ojciec nie mówił o tym. Ojciec umiał przechodzić, przeskakiwać, omijać tego typu przeszkody, trafiać do ludzi, którzy prędzej czy później przekonali się do jego pomysłu. Tym bardziej, że chyba rozumieli, że nic takiego złego przecież nie robi. Ojciec nie mówił, że: To ja robię, że to... tylko chodziło mu o Witosą, o jego spuściznę. Chyba przekonał wielu ludzi do tego w końcu.

**Grzegorz Łeszczyński: A czy kojarzy Pan, jak się układały stosunki Pana ojca z działaczami ZSL-u ówczesnego? Jak się w ogóle zapatrywał na tę formację, na to, co ona reprezentuje?**

**Wojciech Mierzwa:** Zapatrywał się źle. W tym sensie, że poszli na współpracę z komunistami, ale nie wszyscy. Wśród członków ZSL-u miał wielu przyjaciół. Byli to ludzie na pewno uczciwi, którzy byli w tej partii, w tym stronnictwie, nie po to, żeby się dorobić, nie po to, żeby uzyskać jakieś stanowiska, jakieś apanaże, tylko chcieli coś zrobić i z tymi ludźmi ojciec współpracował. Mało tego, przez tych ludzi docierało do takich, z którymi się nie chciał spotkać, nie chciał z nimi rozmawiać. Oni byli niejako pośrednikami i dzięki temu wiele takich ważnych rzeczy docierało do właśnie ludzi, z którymi się ojciec nie chciał spotykać. Ja bardzo ciepło wspominam pana Kiecia, Franciszka Kiecia, dłużejletniego prezesa zarządu Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosa. Ojciec mianował go w cudzysłowie strażnikiem grobu Witosa, był członkiem ZSL-u, był posłem na Sejm, mógł z nim rozmawiać o każdej rzeczy, o każdej sprawie. Pan Franciszek Kieć odwdzieczył się organizacją manifestacyjnego pogrzebu ojca. Pamiętam jak dziś, jak pan Franciszek do mnie mówił: „Nie będzie Zaduszek Witosowych w tym roku. Mecenas Mierzwa urządził nam zaduszki, jakich do tej pory nie było”. Bo to było przed, w październiku, pogrzeb ojca. I takich ludzi było więcej, z którymi się kontaktowałem. To niedawno prezes Mateusz Szpytma powiedział, ja tego nie znałem, gdzieś wyczytał w dokumentach z archiwum ojca, że ojciec namawiał czy odmawiał ludziom pójścia zapisywania się do ZSL-u, chyba, że pójdą w grupie, w takiej grupie, która potrafi w danym kole, w danej strukturze coś zrobić, coś pożytecznego zrobić, a nie da się słamsić, nie da się zmarginalizować. I w takim przypadku widział potrzebę nawet wstępowania do ZSL-u, ale pod warunkiem, że będzie tam można coś dobrego, pożytecznego zrobić. – Gdzieś wyczytałem taką informację, że chyba albo sam otrzymał taką propozycję wstąpienia do partii, albo żeby jakoś się ustosunkował do tych, którzy w niej są i w ogóle do stanowiska tego, tak, po '56 roku, jakie ZSL przyjęło. – No tak, tych propozycji było sporo. Podobno... Bo ja tego nie czytałem. To tylko właśnie z takich czy innych wystąpień różnych naukowców, polityków słyszałem, że proponowano ministerialne stanowisko. Mało tego, ktoś wspominał, że są na to dowody, że proponowano ojcu stanowisko wicepremiera nawet, o wstąpieniu do ZSL-u prekursorze... czy kursorze. Tutaj delegacje przyjeżdżały do ojca, proponowali

mu, ale ojciec oczywiście wyśmiewał takie propozycje, nie godził się, jemu się to nie podobało, współpraca z komunistami, po tym co przeszedł, co widział, co mu zrobili, chociaż nie był jakoś specjalnie, nie chciał się rewanżować podobnymi działaniami, ale to nie dla ojca. Już samo spotkanie z prezesem Malinowskim, nie wiem, czy pan doktor słyszał, umawianie się na to spotkanie, w końcu zgodził się, żeby spotkać się z prezesem Malinowskim. I słowa te, które przeszły już do historii w rodzinie. W Wierzchosławicach spotkali się i ojciec powitał prezesa Malinowskiego: „Prezes taki ogromny, a partia taka mała” – świadczyły o jego stosunku do ZSL-u, do partii. Nie, to było poza jego marzeniem, czy w ogóle możliwością. Zupełnie nie.

**Grzegorz Łeszczyński: A czy ojciec coś wspominał jeszcze o swoim pobycie w więzieniu? Jakby nie patrzeć, siedział siedem lat, prawda? Do tego zwolnienia przedterminowego.**

**Wojciech Mierzwa:** Tak. W Moskwie 3 miesiące. W Polsce 7 lat. Wyrok był dziesięcioletni, ale w 1953 roku uzyskał urlop zdrowotny, bo było kiepsko z nim. I w czasie tego urlopu uzyskał przedłużenie najpierw urlopu, a później objęła go amnestia, tak że w sumie 7 lat spędził w więzieniach. Czy opowiadał? Nic nie opowiadał. Jedyłą rzeczą, którą ja usłyszałem od ojca o pobycie w polskim więzieniu, było to, że w jednej celi przez kilka dni w jednej celi był więziony z płk. Skalskim, tym od dywizjonu 303. I pamiętam, jak ojciec mówił, że taki niepozornej postury człowiek, a z takim ogromnym charakterem. Katowano go tam okropnie, nie załamał się. I to ojciec mi opowiadał. Poza tym nic. Poza tym nic. O reszcie, o tym jak było w tym więzieniu, to się dowiedziałem z jego wspomnień, z jego opisów. Ale to już po śmierci ojca. Z literatury troszkę, a sam nic nie opowiadał. Podobnie jak o procesie moskiewskim, też nic nie opowiadał. Dowiedziałem się dopiero o kilku szczegółach, o niewielu, ale o kilku szczegółach po jego śmierci z literatury, z opisów i z jego wspomnień. Tak że, panie doktorze, niewiele pan tu ode mnie uzyska informacji o ojcu. Taki był ojciec.

**Grzegorz Łeszczyński: To też jest informacja dla mnie jakaś, na ile ojciec się dzielił, tak, swoimi przeżyciami, wspomnieniami, czy z Panem, czy w ogóle z rodziną. Jak to w ogóle funkcjonowało. To też jest istotne. No bo to, co chciał przekazać, tak jak Pan mówi, zostało w wspomnieniach, prawda, czym chciał się podzielić.**

**Wojciech Mierzwa:** Oj, tak.

**Grzegorz Łeszczyński: W takim zakresie, w jakim uznał to za stosowne.**

**Wojciech Mierzwa:** Kiedy wrócił z więzienia w 1953 roku, zaczął pisać dziennik. Prawie codziennie późnym wieczorem siadał i na rozklekotanej maszynie pisał, co danego dnia się działo. Jest tego ponad 6 tysięcy kart. Dalej odkrywam i przekazuję do IPN-u kolejne rękopisy jego notatek. Zachowały się jego notatki z okresu między więzieniem moskiewskim a więzieniem w Polsce. Już nie na maszynie tylko odręczne spisane. Są w Instytucie Pamięci Narodowej, przekazałem je. Czyli to na razie czeka na redakcję, rozumiem, jeszcze, tak? – W tych notatkach są sprawy różne, bo jest i o mnie, jest i o mojej żonie, że jest dobrą synową, ale są też sprawy ważne, polityczne. Kto go odwiedził, o czym rozmawiali, z kim się spotkał, gdzie się spotkał. Taki, taki, taki dziennik, jak powiadam, nie każdego dnia, ale większość dni. Gdyby kogoś interesowało, co robił ojciec, to tam się doczyta.

**Grzegorz Łuszczynski: Miejmy nadzieję, że zostanie to wydane wcześniej czy później.**

**Wojciech Mierzwa:** Nie, nie, nie. To wydane może nie, ale że może historycy, jeśli byłoby to w ich zainteresowaniu, może dotrzeć. – Takie wspomnienia, pamiętniki na pewno są... – Przekazaliśmy do Biblioteki Jagiellońskiej. W trójkę, jeszcze bracia żyli. W trójkę przekazaliśmy te prawie 7 tysięcy, chyba ponad 6 tysięcy kart A4 do Biblioteki Jagiellońskiej.

**Grzegorz Łuszczynski: Pan chciałby, żeby to było wydane w formie książkowej wspomnień, pamiętników? Czy dzienników nawet, tak?**

**Wojciech Mierzwa:** Tak, tylko musiało być to jakoś podzielone na tematy, bo trudno... Opisywał tam i naszych dzieci, czyli wnuki swoje, jak się spotkał, że przyszedł do nas tutaj, że był kilka dni, mieszkał, nocował. Trudno, żeby to mieszać ze spotkaniem na przykład z prezesem Malinowskim.

**Grzegorz Łuszczynski: A teraz o ten Niezależny Ruch Chłopski, który się zaczął kształtować na przełomie lat 70. i 80. Zwieńczeniem tego była Solidarność Rolników Indywidualnych, wcześniej były jeszcze te komitety, samorzady różnego rodzaju. Jak Pana ojciec na to zareagował? Jak się odniósł do powstawania takich inicjatyw oddolnych?**

**Wojciech Mierzwa:** Moja odpowiedź na to pytanie pewnie będzie i niepełna, i być może nieprawdziwa, bo też o tym nie rozmawialiśmy. Nie rozmawialiśmy. Ojciec nie mówił: „Zapiszcie się, nie zapiszcie się”. To mogę oceniać, czy próbować oceniać jako takie z wrywkowych jakiegoś gdzieś coś podłyszane, usłyszane. Wydaje mi się, ale to jak powiadam, to jest mój osąd, że ojciec dość krytycznie oceniał tę wielką Solidarność. Krytycznie w jakimś sensie? Że ludzie, którzy prowadzą ten masowy ruch, nie do końca są jakoś tacy pewni, nie do końca właściwi. Nie do wydarzeń, nie do ruchu miał jakiś taki negatywny, wydaje mi się, stosunek, tylko do przywódców. To jest moje osobiste odczucie, że tak to odbierałem, bo nieraz krytycznie się wypowiadał: „A to nie powinien, tego nie powinien, tamto nie powinien. To można było inaczej, tamto można było inaczej”, ale to były takie, nie żeśmy siedzieli i dyskutowali, rozmawiali, tylko urywkowo, gdzieś przy jakiejś okazji. To w telewizji, w Dzienniku coś zobaczył, a ja przy tym byłem, to coś tam dopowiedział i tak dalej. Z tego, co wiem, popierał i chciał popierać Solidarność Rolników Indywidualnych. Czy wynikało to z osobistych sympatii do przywódców tego ruchu? Nie wiem. Czy może, że był za gospodarką indywidualną, za rolnictwem tym takim chłopskim w cudzysłowie, to znaczy rodzinnym, nie za jakimiś wielkimi latyfundiami. Być może stąd ta jego sympatia, żeby chronić właśnie gospodarstwa rodzinne rolników indywidualnych. Trudno mi powiedzieć, bo też o tym nie rozmawialiśmy. Ja się dopiero później dowadywałem, że ojciec spotykał się z tym, z tamtym, że próbował coś pomagać, doradzać od strony prawnej, jak pewne kwestie rozwiązać.

**Grzegorz Łuszczynski: No właśnie, o to też chciałem zapytać, bo też wiem z dokumentów, że ci działacze, bo w większości młodzi, prawda, w stosunku do Pana ojca, to było już co najmniej następne pokolenie, a już nawet i dalej konsultowali się czy z nim, czy z innymi tzw. działaczami Ruchu Ludowego tego przed i powojennego, prawda? Bo w zasadzie to była jedyna możliwość**

## **odwołania się do czegoś innego poza ZSL-em ówczesnym, prawda?**

**Wojciech Mierzwa:** Zgadza się. – Spotykano się, rozmawiano.

## **Grzegorz Łeszczyński: Zgadza się. Dlatego chciałem zapytać o te spotkania...**

**Wojciech Mierzwa:** Spotykał się, ale my nie wiedzieliśmy o tych spotkaniach. Po prostu spotykał się. To dopiero później na fotografiach widzę, że na Uniwersytecie Jagiellońskim z młodzieżą akademicką właśnie, z ZMW tego nowego, spotykał się, że jeździł w teren i spotykał się, ale to nie od niego. To trzeba szukać w dokumentach, które są w IPN-ie i w tych wspomnieniach, bo na pewno są opisane. Że pojechał, że spotkał się, o czym rozmawiali. My nie wiedzieliśmy.

## **Grzegorz Łeszczyński: A w rozmowie z Panem czy coś mówił o tej nowej rzeczywistości zmieniającej się, 1980, 1981 rok, też w rolnictwie, tak?**

**Wojciech Mierzwa:** Był bardzo, bardzo, bardzo niepewny. Bardzo się obawiał. Nie wiedział, w którym kierunku to wszystko pójdzie. Nie był przekonany, że to pójdzie w dobrym kierunku. Właśnie przez chyba życiorysy osób, które w tym czasie stały na czele państwa. No tak mi się wydaje. Nie był entuzjastą jakoś: „O, synu, nie martw się za rok, za 2, za 3 będzie dobrze”. Nie, raczej, raczej patrzył na to z takim, no może nie ze smutkiem, ale z obawą – o tak bym to powiedział. Szkoda, że nie doczekał jeszcze kilku lat następnych, bo pewnie by się bardzo ucieszył z wielu dobrych zmian. My wszyscy może spodziewaliśmy się więcej, ale chyba nie musimy się martwić, że jest tak źle, jak mogłoby być, prawda? – Chciałem zapytać jeszcze o kontakty z przedstawicielami Kościoła katolickiego, bo Kraków, więc kard. Wojtyła, prawda? Wcześniej Pan wspominał o tym, że ojciec znał osobiście kard. prymasa Wyszyńskiego. Też się z nim spotykał chyba, tak? – Ojciec uchodził za znawcę Kościoła katolickiego, bo nie wiem czy Pan wie, ale był dwa lata w seminarium. A zatem wiele spraw z tej drugiej strony, jak to się mówi, od podszewki poznał, jak się uczy w seminarium, czego się uczy. I podobne. Kontakty z Kościołem miał od dawien dawna. Z pamiętników, może nie tyle ze wspomnień ojca, doczytałem, że odwiedzał kard. Sapiechę. Chodził w towarzystwie do kard. Wojtyły, przyszłego papieża. Chodził nie na pogaduszki, tylko w sprawach właśnie wsi. A to odprawiania nabożeństw za Wincentego Witosa, a to poświęcenia jakichś tam pamiątkowych płyt czy tablic. Wspominałem już wcześniej, jak papież przyjechał do Polski, nie zapomniał o Mecenasiu, jak nazywano ojca. I dostał zaproszenie na spotkanie w Warszawie. Do kard. Macharskiego, metropolity krakowskiego, chodził z różnymi sprawami, oczywiście nie rodzinnymi, nie swoimi, tylko właśnie ludowymi. Bo żeby ksiądz kardynał wysłał kogoś do odprawienia mszy za spójność duszy tego czy tamtego, bo rocznicowe spotkania, bo... I te kontakty były żywe. Ojciec był wierzącym katolikiem. Co więcej mogę powiedzieć?

## **Grzegorz Łeszczyński: A czy mówił coś o tym, jaki był stosunek kard. Wojtyły na przykład do Ruchu Ludowego?**

**Wojciech Mierzwa:** Bardzo życzliwy. W dokumentach, które przekazaliśmy z żoną do Instytutu, do Państwa, jest nawet podziękowanie w imieniu Ojca Świętego Jana Pawła II, pisane przez, już nie pamiętam, jakiego kardynała,

że Ojciec Święty dziękuje ludowcom tam, którzy pisali do niego. Tak że to pamiętał o tym i na pewno był to stosunek bardzo, bardzo życzliwy do tej grupy. Nie mówię, że do innych nie, ale do tej grupy ludzi, o których mówimy, w której był mój ojciec. Na pewno był życzliwy nie tylko do nich, tylko... ale tu to na pewno, na pewno tak.

**Grzegorz Łeszczyński: A wspominał Pan już wcześniej o inwigilacji ojca, jest mnóstwo dokumentów na ten temat. Na pewno sobie zdawał sprawę, Pan mówił, z tego, że jest obserwowany już po wyjściu z więzienia, bo nie mówię o kresie wcześniejszym, bo wiadomo, bo to jakby się skończyło tym aresztowaniem i więzieniem. Ale później, jak to w ogóle wyglądało? Czy może Pan też odczuł to, nie wiem, czy Służba Bezpieczeństwa przychodziła do Państwa do domu, czy jakieś ojciec otrzymywał pogróżki, wezwania? Sugestie, żeby zaprzestał jakichś kontaktów, działalności?**

**Wojciech Mierzwa:** Myślę, że ojciec doskonale sobie zdawał sprawę z tego, że był śledzony. Ja nie. Najpierw jako dziecko, później jako uczeń, jako student – myślę, że nie. Zresztą było takie potwierdzenie, bo uzyskałem też swoje papiery z Instytutu. Jak prosiłem o dokumentację dotyczącą ojca, poprosiłem również o dokumentację dotyczącą mnie. I w jednym z donosów jest napisane, było napisane, że „niezaangażowany politycznie”. O mnie. Natomiast ojciec chyba doskonale się orientował, że był śledzony. Jak się okazało z dokumentacji, którą udostępnił Instytut, korespondencja była czytana, był założony podsłuch, próby przewiercenia się przez ścianę, żeby założyć mikrofon od sąsiadów. Z tej dokumentacji dowiedzieliśmy się, ja się dowiedziałem, są udostępnione na stronie internetowej, naszym portalu rodzinnym, że niestety też wśród członków naszej rodziny byli tacy, którzy jakąś tam współpracę ze służbami podjęli i donosili. No smutne to, ale tak było. Śmiechu jest warte, jacy byli, no nie chcę powiedzieć, że głupi, ale mało domyślni ci podsłuchiwalcy. Proszę sobie wyobrazić, że w wielu raportach są donosy, że ojciec umawiał się z – wymienione nazwiska – na brydża. A to był sygnał, jak rozmawiali przez telefon: „Słuchaj, spotkajmy się u Franka czy Józka na brydża”. A spotykali się po to, żeby to czy o tym, czy o czymś innym porozmawiać. Ojciec nie miał kart w ręku. Ja, będąc w szkole podstawowej, nauczyłem go grać w wojnę. A tak to przecież ojciec na pewno nie... W czasie studiów, jak uczyliśmy się wspólnie z kolegami, z moją przyszłą żoną, obecną żoną, graliśmy w brydża, to ojciec przychodził i był wręcz... „Tak, marnujecie czas”. A my w przerwie w jakiegoś roberka sobie zagraliśmy. Ojciec nie mógł się z tym pogodzić, że syn jego marnuje czas na grę w karty. Sam nigdy tego nie robił. A w donosach ciągle umawiali się na brydża. To taka ciekawostka.